

ALOJZY LYSKO

LOSY GÓRNOŚLĄZAKÓW PRZYMUSOWO WCIELONYCH DO WEHRMACHTU NA PODSTAWIE LISTÓW, WSPOMNIENÍ I DOKUMENTÓW

Problem Górnoślązaków służących podczas drugiej wojny światowej w Wehrmachcie był i nadal jest tematem kontrowersyjnym zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. W polskim systemie myślowym Górnoślązacy w niemieckich mundurach to zdrajcy niegodni pamięci, w niemieckim – to Polacy, którzy przez fakt służby w Wehrmachcie i podpisania folkslisty chcą zapewnić sobie prawo do stałego pobytu i przywilejów socjalnych.

W Polsce wokół tej sprawy nawarstwiło się wiele bolesnych uprzedzeń, uproszczeń, przemilczeń, a nawet różnych prowokacji, jak choćby ta z 16 lutego 1994 r., opublikowana w „Trybunie Śląskiej”:

„[...] Otóż żaden obywatel polski nie został przymusowo wzięty do b. Wehrmachtu, bowiem każde powołanie do wojska poprzedzone było przyjęciem (mniej lub więcej dobrowolnie) tzw. volkslisty jednej z czterech grup. Przyjęcie takiej volkslisty równało się z odstępstwem od Narodu Polskiego” (fragment listu byłego żołnierza Wehrmachtu).

Tragiczne lata wojny bardzo głęboko poraniły wiele polskich rodzin i pamięć o tym jest nadal żywa, stąd też opory w przywracaniu pamięci o setkach tysięcy Górnoślązaków, którzy służby w Wehrmachcie wcale nie traktowali jako obowiązku, a tym bardziej zaszczytu. Nadszedł jednak czas, aby spokojniej i już w pełni obiektywnie przedstawiać ten fragment przeszłości. Górnoślązacy w Wehrmachcie – ten problem nie może być dalej tematem tabu czy białą plamą historii Śląska.

Moja droga do poznania prawdy o tragicznych doświadczeniach Górnoślązaków wcielonych do Wehrmachtu prowadziła przez poznanie ich przeżyć i opinii zawartych w listach, wspomnieniach i dokumentach osobistych. Wydaje się, że to źródło wiedzy o przeszłości było i nadal jest uznawane za drugorzędne. Tymczasem kryje się w nim ogromne bogactwo faktów i niezwykle klarowny i wielce wymowny system wartości wyznawanych w warunkach wojny przez Ślązaków. Te właśnie wartości były dla mnie jak rozpaczliwe wołanie z przeszłości: Nie zapominajcie o nas! Byliśmy takimi samymi ofiarami wojny jak wszyscy zniewoleni wtedy ludzie.

Pobór do Wehrmachtu

Pobór trwał na Górnym Śląsku przez wszystkie lata wojny. Pierwszą rejestrację rozpoczęto w marcu 1940 r., gdy w Katowicach powstało Wehrbezirkskommando (Okręgowa Komisja Wojskowa). Objęła ona 33 roczniki, od 1894 do 1926 r. Nikt dotąd nie ustalił,

ilu Górnolązaków uznano za zdolnych do służby wojskowej. Można tylko szacować, że z obszaru Górnego Śląska w granicach historycznych do Wehrmachtu powołano 250–300 tys. mężczyzn (w rejencji katowickiej żyło 4,3 mln mieszkańców. Odejmując od tej liczby mieszkańców z części krakowskiej i małopolskiej, można przyjąć, że w rachubach wojskowych pod uwagę brany był potencjał ludnościowy około 3 mln mieszkańców).

Komisje wojskowe, poza zdrowiem i ogólną sprawnością fizyczną, zwracały szczególną uwagę na znajomość przez poborowych języka niemieckiego. Było z nią gorzej, niż przewidywano. O ile jako tako znały język najstarsze roczniki poborowych oraz poborowi zamieszkali w niemieckiej części Górnego Śląska, o tyle z resztą było gorzej. Większość Górnolązaków, wierna mowie ojców, władała jedynie polszczyzną. Jaka to była mowa, dobrze ilustruje list z frontu wschodniego pisany przez Franciszka Saternusa z Jedliny [1922]:

„Pisem do Was tyn list i daja znać, że m postof Wom 50 marek. To ta bydziecie Mamo mieli do sklepu. Ale niy żebyście skowali kajś! Jak jich mocie śporować [oszczędzać], to jich lepij spolcie, abo potargejcie, bo i tak z tych szmot wiela niy ma. Se co lepij kupcie dlo siebie do zjedzynio. Jakbych tak z tyj wojny niy powrócił, to tela bydziecie mieć pamiątki po mnie [...]”.

W 1940 r. do rejestracji wojskowej nie stawili się ci Górnolązacy, którzy nie przyznawali się do narodowości niemieckiej. Z biegiem czasu ich liczba zaczęła niepokojąco wzrastać, więc żeby nie nabrała charakteru masowego, władze wojskowe i gminne zaczęły temu przeciwdziałać, stosując różne formy nacisku.

Po 4 marca 1941 r., kiedy ostatecznie weszły w życie przepisy folkslisty, zdawało się, że problem został jednoznacznie uregulowany, obowiązkiem służby wojskowej objęci zostali bowiem posiadacze tylko trzech pierwszych grup DVL (Deutsche Volksliste). Przytoczony poniżej fragment innego listu wspomnianego już Franciszka Saternusa ze stycznia 1942 r. nie potwierdza tego:

„Zapytuja Was, Tato, jak z tom folkslistą? Mocie jom, czy niy? Bo jak żeście dostali »draj«, to Wyście som Polok i jo jest Polok. Jak Wy i jo mamy »draj«, to jo jim wystąpia z tego wojska. Tu sie jedni odwołują, to i jo sie odwołam. Tato, jak niy wycie, kiero mocie klasa, musicie iść na gmina i sie dowiedzieć. Jak sie dowycie, to mi zaroz odpiszcie. Uwiejcie sie z tym, żeby niy było za niyskoro. Bo tu już pierzynem dudni [...]”.

Osoby spoza folkslisty, czyli osoby narodowości polskiej, których liczbę historycy szacują na 100–120 tys. – również nie były zwolnione ze służby we Wehrmachcie. Ich losy dobrze przedstawiają wspomnienia Teofila Biolika ze Świerczyńca [1926]:

„W styczniu 1944 roku za pomoc w ukrywaniu konspiratorów zostało aresztowanych około stu mieszkańców Bierunia i Bojszów¹. Z matką i ciotką również i ja znalazłem się



Franciszek Saternus
(ur. 1922 w Jedlinie)

¹ Dla obszaru Górnego Śląska nazwy lokalne: Bojszowy, Makoszowy, Kosztowy, Radoszowy i wszystkie z końcówką -owy w dopełniaczu przybierają formę Bojszów, Makoszów, Kosztów, Radoszów... Zasadę tę dopuszcza m.in. *Słownik Języka Polskiego* pod red. M. Szymczaka.

w pszczyńskim więzieniu (brat w tym czasie był we Francji w Wehrmachcie). Najgorsze były przesłuchania. Okropnie nas tam bito. Lecz wtedy byłem siedemnastolatkiem i to bicie jakoś wytrzymałem. Matka siedziała pół roku. Mnie po trzech miesiącach wypuszczono, bez żadnego pytania wpisano na volkslistę »trzy« i wcielono do Wehrmachtu [...]”.

Pewną liczbę poborowych reklamowały kopalnie, huty i fabryki zbrojeniowe. W miarę jednak pogarszania się sytuacji na froncie liczba reklamowanych systematycznie malała. Zastępowali ich jeńcy i robotnicy przymusowi, którzy w ostatniej fazie wojny stanowili około 75 proc. stanu zatrudnienia.

Nieprzerwany pobór do Wehrmachtu trwał na Górnym Śląsku pięć lat: 1940–1944. Odbywał się z reguły w cyklach miesięcznych. W koszarach szkoleni rekruci nazywali się: „january” – czyli ci, którzy przybyli do koszar w styczniu, „february”, „märze” itd. W pewnych jednak okresach – w zależności od sytuacji na frontach – pobór miał charakter mobilizacji. Tak było w marcu i jesienią 1942 r. Wówczas ogłoszono mobilizację uzupełniającą. W styczniu 1943 r. ogłoszono natomiast mobilizację masową obejmującą ludność w wieku 16–45 lat. Obowiązywał wtedy dwudziestoczerogodzinny termin stawienia się w wyznaczonych garnizonach.

Ostatni pobór zarządzono pod koniec grudnia 1944 r. Do jednostek wojskowych mieli stawić się chłopcy urodzeni w drugiej połowie 1927 r. Wielu z nich zaryzykowało i nie zgłosiło się w jednostkach, ale po wkroczeniu Rosjan ich los był również nie do pozazdroszczenia.

Pożegnania

Wezwanie do Wehrmachtu było jak wyrok, trudno było się od niego odwołać. Nie pomagały protekcje, powoływanie się na sytuację rodzinną, na zasługi czy rany odniesione w pierwszej wojnie światowej ani prośby słane do Berlina, do samego Hitlera.

Na wojnę musieli iść wszyscy uznani przez komisję wojskową za zdolnych do pełnienia służby: ojcowie wielodzietnych rodzin, jedyni żywiele rodziny, jedyni właściciele gospodarstw czy warsztatów rzemieślniczych, nauczyciele, studenci, urzędnicy, górnicy, hutnicy, kolejarze. Zaciąg był powszechny – obojętnie, czy ktoś był polskiego, czy niemieckiego ducha.

Zarówno jednym, jak i drugim kochające matki i żony zaszywały do świętych szkaplerzy Komunię św., wręczały różańce, obrazki z modlitewkami do św. Barbary, św. Tadeusza Judy, do Paniienki Piekarskiej. Narzeczone darowały wyszyte chusteczki, pamiątkowe fotografie, prosiły o listy. Powołani uczestniczyli w pożegnalnych nabożeństwach w kościołach, gdzie modlili się o szczęśliwy powrót, żegnali z najbliższymi w różny sposób. Młodzi, w przeczcuciu końca swego życia, po nabożeństwach gromadzili się w karczmach i topili smutek w piwie lub winie.

Opuszczając swoje mieszkania, całowali progi rodzinnych domów, żegnali się krzyżem świętym, wymawiali stare śląskie: „Zostońcie z Bogiem”. Opuszczali rodzinne zagrody, nie oglądając się do tyłu, jak nakazywał stary przesąd. Poklepywali na pożegnanie swoje gospodarskie konie, psa – wiernego przyjaciela, obejmowali rodzinne drzewa i wychodzili za wrota. Niektórzy po raz ostatni.

„W niedzielę 22 marca 1942 roku z dworca kolejowego w Pszczynie odjeżdżało nas setki. Orkiestra wojskowa grała nam »paradenmarsze«, lecz chyba tej muzyki nikt nie słyszał. Każdy się trzymał blisko swoich i chciał być z nimi do ostatniej minuty. Co się tam wtedy też wylało! Tam przyszły mi takie myśli: – Ilu z nas powróci w rodzinne strony? Dlaczego to nieszczęście przytrafiło się naszemu pokoleniu [...]” (wspomnienia Józefa Sosny z Miedznej [1924–1994]).

Szkolenie rekruckie

Pociągi rozwoziły młodych Górnślązaków po koszarach całej Rzeszy. Nysa–Brzeg–Wrocław–Drezno–Blankenburg–Halberstadt–Kassel–Hanower–Kolonia–Strasburg–Kempten–Ingolstadt. Dla wielu z nich był to pierwszy wyjazd poza rodzinną miejscowość, w szeroki świat. Chłonęli niezwykle widoki, podziwiali wielkie kamienice miast, ośnieżone szczyty Alp, dobrze obrobione pola. W koszarach witały ich orkiestry, dzieci z kwiatami, przedstawiciele władz. I na tym się kończyły pogodne chwile.

„Kochani Rodzice, pierwsze dni były dobre, ale teraz już nas oblekli, do tornistrów dali po trzy cegły, a kto ich wyciepnie – dostaje trzy dni heresztu. Już nom zrobili nocny marsz na 20 kilometrów. Jak zech przyszeł nazod, to mi język wyszeł na wyrch, co bych tak pił [...]” (fragment listu Pawła Zuga z Bojszów [1925]).

„Kochana Mamo, przywieźli nos do Strasburga. Z okna pociągu było widać, że to duże i piękne miasto. W koszarach dostotech się do sali, kaj nos śpi dwudziestu. Jeszcze sie niy znomy, ale zdaje mi sie, że jedyn jest Ślązok, bo przy myciu sie przeblaknął [przejęczył się, zdradził się mową]. Na gibko nos uczą niemieckiego, ale niy to jest nojgorsze. Najgorsze jest to, że goniom nos jak psów. Jedni tego niy poradzom strzymać, toż idom do dochtora po rewiyr. Jo dziynka Bogu jest zdrowy. Niy posyćecie mi żodnych paczków, bo jedzenia momy za tela [...]” (list Józefa Stoleckiego z Chełmu Śląskiego [1924]).

„Kochany Braciszku, pisałeś mi, żeś już objechał dużo świata. Bydziesz miot kiedyś dużo do opowiadania. A jo jest dalej w tym Ingolstacie i oglądom okolice tego Oberbajer. [...] Niczym się niy przejmuja. Jeść smakuje, mundur pasuje a gdy sie mnie co pytają – to jim odpowiadom: – Nicht kapri! Nerwują się jak diobli, ale co mają zy mną poczyć. Jo sie niy prosię do tego wojska [...]” (list pisany w maju 1943 r. przez Pawła Lyskę z Bojszów [1922]).

Szkolenie rekruckie trwało kilka miesięcy. Nauka obchodzenia się z bronią, strzelanie, musztra, ćwiczenia wytrzymałościowe w terenie uważane były przez dowództwo za bardzo ważne, jednak najwięcej wysiłku kosztowało doskonalenie języka niemieckiego. Niektórzy dowódcy byli zaniepokojeni słabą znajomością niemieckich komend wojskowych, niedostatecznym zasobem słów potrzebnych żołnierzowi w warunkach frontowych. W celu szybszego opanowania języka wprowadzano różne formy aktywizujące: tworzone drużyny i kompanie złożone z czystych Niemców i do nich dołączano jednego, dwóch Górnślązaków, fundowano im miesięczne pobyty w niemieckich rodzinach, gdzie pomagali w pracach gospodarskich i jednocześnie uczyli się najróżniejszych zwrotów językowych.

W 1944 r. szkolenie rekrutów coraz częściej zakłócały naloty bombowców alianckich. Koszary wojskowe były jednym z ich głównych celów. Ilustruje to dobrze list Augustyna Piekorza z Bojszów [1918]:



Paweł Zug (ur. 1925) zginął w Normandii – szkic wykonany w warunkach frontowych

„Köln – Mülheim, 14 września 1944 r. Kochana Żono, dużo miałbym ci do pisania, ale się trochę boję, bo przeglądają listy. Jestem zdrowy, jeść smakuje, tylko nie ma co jeść. Dają nam tu jeden chleb na czterech. Niektórzy to zjedzą już we wieczór. Rano wstaję, napiję się kawy i idę na ćwiczenia. Dziesiątego zrobili odwiedziny na nasze koszary. Spuścili szprengbomby [bomby burzące] i brandbomby [bomby zapalające]. Wszystko zaczęło się palić, a piwnice, kaj my się kryli, całe chodziły. Tu już wszystko jest poniszczzone, a oni dalej niszczą. Wszystko mamy popakowane. Czekamy na odjazd pod Arnzberg. Tam ma być wielka somelstella [punkt zbiorczy] [...]”.

Szkolenie rekruckie kończyło się złożeniem przysięgi. Dla wielu Górnślązaków ta chwila była źródłem wewnętrznego rozdarcia. Nie wszyscy identyfikowali się z niemiecką „Ojczyzną, Narodem i Wodzem”, na co mieli przysięgać. Dlatego przed przysięgą zdarzały się w koszarach m.in. takie sytuacje, jak ta, przedstawiona w liście W.P. z Bierunia [1921]:

„Wziyni mnie do niemieckiego wojska na jesień 1940 roku z poboru. Niy chciotech iść, ale mus to mus. Byłech synem powstańca śląskiego, tata siedzieli w lagrze, a mama mnie prosili, żebych szel do tego wojska, bo wtynczos może taty wypuszczom. Dostotech się do Padeborn. Jako rekrut dostawotech dobro wyćwika. Starotech sie być postusznym i wszystko robić, jak rozkazywali. Tyn wyższy, pod kierym żech był, fest mi przoł, miol mnie jak za syna, ino tego niy pokazywoł przed innymi. Miotech do niego tako śmiałość, żech przed przysięgą podwożył sie prosić go, aby mnie z tej przysięgi zwolnił. – Jo jest synem powstańca śląskiego – godom mu – jo sie niy czuja Niymcym, to jak jo mom przysięgać Niemcom i Hitlerowi. Prosza o skierowanie do roboty w kopalni, u nos na Górnym Śląsku. Do dziś niy poradza uwierzyć, że tyn oficyr wystaroł się, że mnie i jeszcze paru innych zwolnili z wojska”.

Transporty na front

Po przysiędze wojskowej żołnierzom pozwolono jeszcze na krótki czas pozostać w koszarach, aby mogli pozafatwiać swoje osobiste sprawy. W tym czasie otrzymywali przepustki do miasta, gdzie robili pamiątkowe zdjęcia i wraz z kartkami widokowymi miejscowości, gdzie służyli, wysyłali do rodzin. Za otrzymane w koszarach kieszonkowe kupowali siostrom, narzeczonemu drobne upominki, a dla siebie przedmioty osobiste, jak lusterka, grzebienie, szczyryki. Uwolnieni już od wyczerpujących ćwiczeń rekruckich mieli trochę spokojniejszych chwil, aby pisać listy, pograć w karty i zabawić się w kamrackim gronie.

Z niepokojem czekali dnia odjazdu na front. Przydział do jednostek na Zachodzie był w loterii ich życia losiem wygranym, przydział na *Ostfront* – prawie wyrokiem śmierci. Wszyscy bali się frontu wschodniego, przeto wielu już podczas transportu podejmowało próby ucieczki. Oto meldunek dowódcy w sprawie niedozwolonego oddalenia się żołnierza:

„Żołnierz Alojzy Liszka, ur. 13 kwietnia 1910 roku, zamieszkały na Świerczyńcu (Górny Śląsk) w dniu 18 lutego 1943 r. o godz. 20 w czasie transportu przerzutowego na postoju w Halle bez zezwolenia oddalił się razem ze starszym strzelcem Strzodą. Meldunek o niedozwolonym oddaleniu został przekazany na stację we Wrocławiu i Raciborzu [...]”.

Z kolejnego meldunku można się dowiedzieć, że dezerterzy zostali schwytani już we Wrocławiu i kolejnym transportem skierowani na front pod Dniepropietrowsk. Jednak na trasie Lwów–Kijów znów się oddalili, więc został o tym powiadomiony sąd polowy².

² Alojzy Liszka nie powrócił z wojny. Poszukująca go po wojnie żona otrzymała z niemieckiego archiwum wojskowego obszerną dokumentację o przebiegu służby męża w Wehrmachcie, jednak bez podania okoliczności śmierci.

Transporty przerzutowe otoczone były przez władze wojskowe ścisłą tajemnicą. Żołnierzom nie było wolno pisać o nich w listach, a jeśli pisali, to bez podawania daty i miejsca. Każdy list był cenzurowany. Potwierdza to fragment jednego z listów cytowanego już Franciszka Saternusa.

„Drodzy Rodzice, wyboczcie, żech do Vos niy pisoł, bo pismów niy odbiyrali. A tyn list, co czytocie, toch napisoł w czasie rajzy i wciepoł do skrzynki w Polsce, we wsi Brzeźnica. Toż sie domyślocie, kaj nos wiezom [...]”.

Inny list opisujący wyjazd na front pochodzi od dziewiętnastoletniego Pawła Zuga z Bojszów. Jest bez daty i miejsca, jednak z porównania dat w pozostałych listach wynika, że był pisany w kwietniu 1944 r.

„Kochani Rodzice, jużem Wam dawno pisał, że będziemy wyjeżdżać do frontu, ale żem nie wiedział kiedy. Teraz wszystko wiem. Zostałem wycofanym z kompanii jako nadliczbowy, a moja kompania wyjechała ku Paryżowi, boście już chyba słyszeli, że tam Anglik wylandował. Zanim Anglik jest na brzegu, to dostaje po galotach, ale jak wlezie dalij, to sie niy do. Piszcie mi jak poradzicie. Jak Wom lepiej pisać po niemiecku, to piszcie po niemiecku, bo jo już poradza czytać i pisać po niemiecku. Niy robia tego, bo mom już Niemców pod tela [...]”.

Dramatyczny list napisał też w związku z wyjazdem na front cytowany już Józef Stolecki. „Kochana Mamo, wyjeżdżamy na ostffront. Niy starojcie sie nad mym losem, bo wszystko w rękach Boga. Byda miół żyć – to byda żył. Bydzie mi pisane co innego – trudno. Z wolą Bożą musimy sie pogodzić. O jedno Vos ino prosza: módlcie sie za mnie [...]”.

Dwudziestoletni Józef był na pierwszej linii zaledwie kilka dni. Nieprzywykły do ostrych rygorów życia w okopach, zginął od kuli rosyjskiego snajpera 13 czerwca 1943 r. gdzieś pod Orłem.



Alojzy Liszka (ur. 1910)
ze Świerczyńca gm. Bojszowy,
próbował zdezerterować z Wehrmachtu

Realia frontowe

Pisanie listów w koszarach nie stanowiło dla żołnierzy większego problemu. Jeśli chcieli napisać do najbliższych, zawsze potrafili znaleźć na to odpowiednie miejsce i czas. Trzeba podkreślić, że pisali dużo. Bywało, że codziennie, a zdarzało się, że wysyłali listy i dwa razy na dzień. Pisali w różnych językach, jak nauczyły ich szkoły. Najczęściej jednak po śląsku. To był język ich duszy. Wyrażali nim nie tylko proste myśli i całą skalę przeżyć, ale – co było najważniejsze – przekazywali najistotniejsze informacje: Żyję! Jestem zdrowy! Mam co jeść, gdzie spać. Na razie nic mi nie zagraża itp.

Pisanie listów w warunkach frontowych było już mocno utrudnione. Większość wcielonych do Wehrmachtu Górnślązaków weszła do działań frontowych już po klęsce pod Stalingradem, a więc wtedy, gdy hitlerowskie Niemcy utraciły inicjatywę strategiczną. Dla Wehrmachtu była to już raczej wojna obronna, planowy odwrót. Pisanie listów w takich warunkach było czasem niemożliwe, pomimo to żołnierze pisali, i to stosunkowo dużo, bo wiedzieli, że nie wszystkie z tych listów dotrą do celu, a oni mają obowiązek dawać znać

o sobie, że żyją, gdzie się mniej więcej znajdują, co przeżywają, jakie są szanse uratowania życia. Te właśnie listy są wstrząsającym zapisem ich osobistych losów i pełnymi okrutnej prawdy obrazami wojny. Oto fragment listu Franciszka Saternusa z Jedliny [1925]:

„Rusland, 26 marca 1943 r. Czy Wy ta niy dostajecie tych moich pismów? Pisz do Was dziyrń w dziyrń, a Wy nic, żodnej wieści. Od poru dni jest żech na odpoczyńciu. Dopołednia robiymy dinst [służbę], popołedniu mamy fraj. Jodło dobre, kurzynio za tela, a sznapsu jeszcze więcej. Tyn sznaps mi sie już obrzydł. Jak mnie wto poroczy, to ta jeszcze wypija, ale tak som od siebie – to sie go niy chyca. Od stówki do dziś dnia zdrowie mi dopisuje. Tego samego i Wom wszystkim w doma życza. Żebyście byli zdrowi i weseli na te Wielkanocne święta. Bo chociaż jest ta gupio wojna, to macie to szczyści być przy swoim domu. A jo? Dzisiaj żech jest na odpoczyńciu, jutro zaś do pola strzylać i zabijać. Z Bogiem – Wasz syn Franek”.

„Rusland, 3 października 1943 r. Kochana Żono, jest dzisiaj piyrwso niedziela miesiąca poświęcono Matce Bożej Różańcowej. A jo leża w ruskim polu, w dziurze i piszy tyn list do Ciebie z wielkim strachym, bo mi kule gwizdajom nad głowom. Niy gorsz sie, że Ci mało piszy, bo ja muszy maszyrować kożdy dziyrń po 20 km, to na wieczór mi sie niczego niy chce. Tela mnie ino cieszy, że codziyrń jest żech bliżej chałpy. Jaki to moji życi jest, tego Ci, moja Żono opisać niy idzie. Jakbyś mnie teraz widziała, to byś mnie niy poznała. Od bagna jest żech parszywy jak ropucha. Myć sie i golić niy ma kaj i czasu, bo nos goniom do zadku bez litości [...]” (fragment listu spod Żytomierza Alojzego Łyski [1912]).

„Pod koniec listopada 1942 r. pod Kaługą weszli na piyrwso linio. Zrobiła sie tam wtynczos tako zima, że żodyn niy wiedzioł, jak sie przed niom bronić. Mróz dochodził do 50 gradów! Wojoki wyły ze zimna, jak wilki. Jak sie roz po nocy rachowali, to połowa wojoków było na śmierć zamarniętych. Brat mój to tam wszystko dobrze badał i roz z tyj linie uciyktł. Pomogła mu w tym jedna rusko dziotcha, kiero go przewiodła na zadek. Cóż z tego, kiejo chneda chycili i dali do strafkompanie, kaj było jeszcze gorzyj. Stamtąd brat tyż uciyktł. Zaś go chycili i już niy pardonowali. Rozstrzylali go [...]” (relacja Anny Mamok dotycząca losów brata Alfonsa Baliona z Chełmu Śląskiego [1916]).

Inny młody Górnosłązak, dwudziestopięcioletni Teodor Bula z Bojszów, w liście do rodziców, jak się później okazało ostatnim, tak opisywał swoje przeżycia po bitwie pod Biełgorodem w lipcu 1943 r.:

„Mamo, niech oczy tych, co po nas przyjdą, nie oglądają nigdy tego, co jo tu oglądać musza. Jak tu jedni ciyrpiom, zanim oddajom Bogu ducha. Jęczą, wołają pomocy, a niy idzie nijak pomóc, żeby samymu niy stracić życie. Mamo, że jo jeszcze żyja – to cud od Boga. Módlcie się za mnie, bo mnie może uratować jeszcze ino cud! Królowo Pokoju – weź mnie pod swój płaszcz [...]”.

1 listopada 1943 r. Maria Czarnynoga z Bojszów dostała ostatni list od syna Wojciecha [1924], wysłany z włoskiego miasteczka Capriati:

„Z pociągu, który odjechał z Hanoweru, zostało nos jeszcze sześciu. Reszta – wszyscy zabici. Amerykony biją w dzień i noc. Ziemia się trzęsie, wszystko się poli, nawet kamienie. Kryjemy się w dziurach wykutych w skale, a krew się na nos leje, jak woda z deszczu. Wszędzie darcie, wołanie, płacz. Mamo, żegnom się z Wami, bo jo już z tej wojny niy powróca. Już Was nigdy niy zobocza, ani moich Bojszów. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

Pod koniec roku matka otrzymała pismo dowódcy z tego rejonu walk, datowane 8 listopada, że jej syn Albert zaginął bez wieści. Słowo „zaginął” oznaczało nadzieję, lecz Maria Czarnynoga nigdy nie doczekała się powrotu syna. Padł pod Monte Cassino po niemieckiej stronie i tam jest pochowany.

Kolejny list, uznawany przez rodzinę za ostatni:

„3 sierpnia 1944 r. Kochani Rodzice, piszecie mi, że zboże na Olszynkach dobrze obrodziło. Zboża obrodziły, bo się wojna kończy. Tu już jest tak daleko. Dowiadują się, żeście dali na mszo św. za mnie. Żeby to co pomogło? 31 lipca Tommi zrobił nom taki angryf [natarcie], że bez trzy dni i trzy noce byli my na śtelungach [pozycjach]. W pierwszy dziyń stracił zech dwóch kolegów ze Śląska. Ani niy wiym, skąd te boroki były. Jo był w keslu [w kotle, w okrężeniu], ale zech w nocy zwiół. Chciołbych to jeszcze jakoś przetrzymać i szczęśliwie do dom powrócić. Na trzeci dziyń my sie 8 km cofli, toż bez pora dni bydymy mieli trocha spokoju. Ale jak Tommi pociśnie, to zaś tu bydzie jak w piekle [...]”. Dziewiętnastoletni Paweł Zug z Bojszów nie przeżył natarcia Amerykanów. Padł w Normandii.

A to również ostatni list z Normandii od Tomasza Rozmusa z Woli [1912]:

„Frankenreich, den 16.7.1944 r. Moja Najdroższa Matżonko, witam się z Tobą jak Anioł z Aniołem przed Bożym kościołem: NBPJC. Już dwa tygodnie, jak otrzymałem list od Ciebie. Co tam z Wami? Jak daleko jesteś z tą łąką? Pisałaś, że szwagier pół dnia siekł łąkę maszyną. Czy wszystko zesiekł? Czyś to siano już zwiozła? Dziś 16 lipca, już się trzeba rychtować do żniw, a ty jesteś sama, bez męskiej siły. Jak ty sobie poradzisz? Żyjemy tu w bunkrze, nad samym morzem. Przez okno mógłbym ryby chwytać. Jeszcze tu spokojnie, ale chneda [wkrótce] się zacznie. Nadchodzą na nas ciężkie chwile. Wyglądam niecierpliwie Twej fotografii. Poślij mi ją. Będzie mi z nią weselej. Kochana Anielko, czas ucieka, ale sumienie człowieka boli na wspomnienie o chałpie. Jednak dziękuję Bogu, że mnie dotąd raczył zachować przy życiu. Wyciągam ręce do Niego z prośbą o dalszą pomoc. Z Bogiem. Do widzenia – do miłego zobaczenia. Na usta Twe składam najserdeczniejszy pocałunek”.



Grób Wojciecha Czarnynogi na niemieckim cmentarzu pod Monte Cassino

Jako dezercerzy i jeńcy

W pierwszych latach wojny Górnoszlązacy przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, jeśli sporadycznie podejmowali ucieczki z wojska, to czynili to z pobudek czysto narodowościowych, skazując jednak się na życie w konspiracji, co w warunkach państwa totalitarnego związane było ze stałym zagrożeniem życia.

W środku wojny, gdy wielu żołnierzy poznało już całą jej grozę, drugim ważnym motywem ucieczek było ocalenie życia. Były to decyzje bardzo ryzykowne, gdyż potęga III Rzeszy nadal była niezachwiana. Dopiero wielkie niepowodzenia na froncie wschodnim i afrykańskim zaszczepiły więcej nadziei i zachęty do dezercji.

Jednak Górnoszlązacy – aczkolwiek stale noszący myśli o ucieczce – nie podejmowali decyzji zbyt pochopnie. Liczyli się z konsekwencjami takiego kroku. Twarda zasada stosowana przez władze hitlerowskie – odpowiedzialność zbiorowa – nie była pustosłowiem.

Dobłą tego ilustracją były losy Pawła Czarnynogi z Bojszów [1915] opisane we wspomnieniach Marty Czarnynogi [1914–1992]:

„Wiosną 1943 r. jego jednostkę skierowano na front wschodni. Przejeżdżając przez Katowice, uciekł z bronią w rękę z transportu. W domu wszystkim rozpowiadał, że przyjechał na kilkudniowy urlop. Karabin zamurował w ojcowej stodole, a sam ukrył się na strychu po sąsiedzku. Za tę ucieczkę cała rodzina była prześladowana. Ciągłe rewizje i bicie. Brat Sylwester dostał się do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, gdzie zginął. I ja przeszłam przez kilka obozów i cudem przeżyłam [...]”.

„Jak zrobiła się drugo wojna światowo, brata Ludwika wzięni do niemieckiego wojska. Wzion kuferek, obłąpił mamy za nogi, mnie przytulił i wyszedł z chałpy. W Pszczynie wsiod do cuga, powinkował nom z oka i pojechał. Ale w Kobiórze wyskoczył z pociągu i w nocy przyszedł nazod. Pora lot my go ukrywali po stodółach. Nocami żech do niego lotała z jedziny i ciepłymi łachami. I roz se na mnie zawachował szandar [żandarm] Peterko z Miedźnej i mnie copnął. W pszczyńskim herszcie znodli sie Ludwik, mama i jo. A bracio August i Franek byli wtedy we Wehrmachcie. Bili nos w tym hereszcie. Mama z tego bicio umarli, a jo, żeby sie niy dostać do lagru, godałach jedno i to samo: że mi mama kazowali nosić to jedziny. I tak żech życi uratowała. A Ludwik, borok [biedak] – w tych stodółach przemorz i dostał sie do więziennego lazaretu we Wiedniu. I tam życi skończył” (wspomnienia Moniki Lukasek z Jankowic k. Pszczyny [1924]).

„Na dworcu w Nowym Bieruniu bratu Wojciechowi przysły myśli, żeby zdezerterować. Był bliski zrobienia tego kroku, ale na peron akurat wjechał pociąg do Auschwitz. Zza małych okienek usłyszoł wołania: wody, wody. Przestraszył sie tych ludzi. Pomyśloł, że jeśli ucieknie, to matkę i całą rodzinę narazi na to samo” (wspomnienia Antoniego Czarnynogi z Bojszów [1911–2000]).

„Było to 20 września 1944 r., kaś pod San Marino. Żandarmeria przywiozła dwóch naszych wojoków bez broni. Zaroz z nimi pod mur! Wojskowy prokurator odczytał wyrok i do rozstrzylania. A my wojsko stojmy na placu i momy zrobić ta egzekucja. Jednym razem tyn wyższy podchodzi ku nom i rachuje: ajnc, cwaj, draj – wystąp! I draj trefiło na mnie. Jo sie wymowiom, że wierza w Boga, że mi sumiyni niy do, tak strzylać do człowieka. Tyn wyższy ryknął na mie: – Ty też pod mur! Stojmy teraz we trzech, a przed nami tyn wyliczony pluton egzekucyjny. Prokurator podchodzi do każdego z nos i pyto o ostatni życzenie. Tyn jedyn był z Rydułtów i prosi, czy matce może napisać pora słów, tyn drugi, z Pszowa wali prosto w oczy tynu oficerowi: – Co mnie dzisioj spotko – ciebie spotko jutro! Ta wojna tak i tak przegrocie! Prokurator podchodzi do mnie. A jo mom oczy zawarte i niy chca jich

otwierać. Trwo to jak wieczność. Wtós mie szturcho. Otwiyrom oczy, a przedy mną kapitan Hartinger, u kierego kiedyś byłech pucerem. I tyn człowiek mnie wybawił, a tych biydoków spod Rybnika rozstrzylali. Hartinger mnie wybawił, a jo za tydzień był zech już u Anglika. Też zech tak uciekł, jak ci chłopczy z Rybnika, ino mnie sie udało [...]” (wspomnienie Franciszka Synowca z Chetmu Śląskiego [1920–2002]).

Przechodzenie na stronę przeciwnika zawsze było krokiem niebezpiecznym, podczas którego można było stracić życie. O ile na froncie zachodnim alianci ułatwiali podejmowanie takich kroków, o tyle na froncie wschodnim bywało różnie, w zależności od obowiązującej aktualnie dyrektywy Stalina co do postępowania z jeńcami. Raz obowiązywała surowa zasada: żadnych jeńców z wyjątkiem grup większych od 100, 1000, innym razem „każdego schwytanego przestłuchać i kierować do obozów”.

„W sierpniu 1943 r. przyszło do dom pismo, że Robert jest »vermisten«, czyli zaginiony, a za jakiś miesiąc briwtreger przyniósł z poczty woreczek, w którym były po Robercie papiery, tyżka żołnierska, szcztotka do trzewików, szkaplerz, kiery mu dali matka. Płaczu było w doma, jak tyn woreczek przyszeł. Matka Robertowi fest przoli, toż aże wtósy rwali z głowy. Jo tyż popłakiwała, choć szczerze powiyim – zech coś czuła, że łon jeszcze jest wśród żywych. Bo z Robertem było tak: szeł na nich ruski atak, ćma ich było. W bunkrze, kaj sie bronili, wszyscy byli wyzbijani. Ino Robert jakimś cudym żył. Siedziół taki ogłupiały i rzykoł do Pannienki, żeby Rusy z nim niy skończyły. Bo ta nie było u nich pardonu. Mioł jednak żyć. Dali mu spokój. A przy Rusach było dużo Poloków. I tak sie chneda dostał do polskiego wojska pod generała Berlinga [...]” (wspomnienia o mężu Heleny Uszok z Bojszów [1919]).

„W marcu 1945 r. zajęliśmy pozycje nad rzeką Neckar niedaleko Stuttgartu. Po odparciu kilku alianckich ataków na nasze pozycje nadleciały myśliwce szturmowe, które obrzuciły nas stukilogramowymi bombami. Ostatni obrazek przed utratą przytomności zapamiętałem, gdy podmuchem zostałem wyrzucony w powietrze, uderzyłem głową o młodą sosnę. To był cud, że przeżyłem. Świadomość powróciła mi dopiero na drugi dzień. Wszyscy moi koledzy byli zabici. Nie miałem przy sobie broni, więc zaczęłem się gorączkowo za nią oglądać, bo esesmani pod koniec wojny strzelali do każdego swojego żołnierza, który nie miał broni. Amerykanie wzięli mnie do niewoli. Kilka tysięcy takich jeńców jak ja prawie cały kwiecień trzymano na gołej ziemi za drutami. Z powodu głodu i zimnych nocy przeżywałem trudne chwile. Któregoś dnia za druty wjechał gazik z oficerami. Pytali przez megafony: Kto mówi po polsku, wystąpić! Nikt nie wystąpił i nikt się nie odezwał, choć nas tam było wielu. Wszyscy baliśmy się, że w nocy niemiecka większość nas zatłucze. Tak się wtedy w obozach działo. Na drugi dzień przyjechały ciężarówki. Jeszcze raz przez megafony padło: Kto jest Polakiem – wsiadać do samochodu! Wystąpiło nas około pół tysiąca...” (wspomnienia Teofila Biolika ze Świerczyńca [1926]).

Wojenne szacunki

W Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie w latach 1939–1945 znalazło się 40–50 tys. Górnoszlązaków. Nie zabrakło ich też na froncie wschodnim, lecz tam niedoceniano ich siły bojowej, gdyż na 60 tys. Ślązaków, Pomorzan i Mazurów wziętych do niewoli w mundurach Wehrmachtu tylko 3 tys. zasiliło szeregi dywizji im. R. Traugutta, resztę skierowano na roboty.

Przyjmując liczbę 50 tys. Górnoszlązaków, którzy z bronią w ręku walczyli po stronie aliantów, należy przypomnieć, że na wojnę poszło ich 250–300 tys. Jakie były losy tej większej reszty? Dokładnej odpowiedzi na to pytanie historycy chyba już nie uzyskają. Przy próbach

takiej odpowiedzi można byłoby jedynie oprzeć się na wyliczeniach szacunkowych. Póki jeszcze czas, warto te szacunki sporządzić. Wydaje się, że dobrym punktem wyjściowym mogłyby być w tym względzie dane z Bojszów (wieś położona w powiecie pszczyńskim, w 1940 r. liczyła około 3 tys. mieszkańców). We wszystkich latach wojny do niemieckiego wojska powołano tu około 300 mężczyzn, co stanowiło 10 proc. ogólnej liczby mieszkańców. Tylko jeden z nich zgłosił się do Wehrmachtu ochotniczo. Reszta została wcielona drogą administracyjną, obwarowaną surowymi sankcjami wojennymi. Jeden z wezwanych nie stawiał się w wyznaczonych koszarach. Przez kilka lat ukrywał się w lasach i opuszczonych stodołach. W 1944 r. został schwytany i jako więzień KL Auschwitz rozstrzelany w Odrzychowicach na Zaolziu.

Trzech bojszowiaków (1 proc.) po przysiędze, już jako żołnierze, uciekło z wojska: jeden podczas transportu, jeden nie wrócił z urlopu, jeden uciekł z linii frontu. Historię tego ostatniego zarejestrowano w 1995 r.:

„Mój brat August był krawcem. Jak na wojnie widział, że w każdej chwili może stracić życie, nikomu nic nie godając – uciekł z linii. Błąkał się pora dni, aż jednego razu trafił na banhof w takiej małej wiosce pod Kijowem. Wsiadł tam do cuga i znalazł się w Krakowie. Jadąc tramwajem, przyglądał się ludziom. Sprytny był. Podeszedł do takiego jednego panoczka i mu pedził na ucho, że potrzebuje cywilne łachy. Miał szczęście. Tyn panoczek pokozował, że może iść za nim, jak wysiednom z tramwaju. No i szli, szli i zaszli do krawieckiej werksteli. Okazało się, że tyn panoczek był tam sznajdermajstrem. To brat mu pedził, że tyn też jest krawcem. Oblokli go tam i dali pojeść i pokozali droga ku Śląskowi. Tak brat po cywilnym znalazł się w domu. Ale się boł wylżyć do izby, toż dostał się we wieczor do chływa. We wieczór tata przyszedł odbywać gowiedź [bydło] i go tam ujrzeli. Tata byli fest bojączek i pedzieli Augustowi: – Jo cie tu nie chca widzieć! Bier się nazod i to gibko, bo jak się to wydo, to nos wszystkich wywiezom do lagru. I cóż miał robić brat? Udoł się nazod do Krakowa, do tego majstra. Nie bardzo go tam chcieli przyjąć, bo się też boli. Ale w końcu ugodali się, że brat będzie szył w osobnej ancli i się nikaj nikomu nie będzie pokazywał, a za szycie bydom mu dowali kust i spani. I tak końca wojny doczekał” (wspomnienia Róży Węgrzynek, po mężu Kotas, z Bojszów [1933]).

Sześćdziesięciu bojszowiaków (stanowiło to około 20 proc.) zostało zabitych lub zaginęło. Ich groby rozsiane są od Stalingradu i Kaukazu aż po Normandię.

„Prezes Rady Ministrów Ob. Bolesław Bierut w Warszawie. Czcigodny Obywatelu, zwracam się do Ciebie z gorącą ojcowską prośbą. Gdy mnie już wszystkie środki zawiodły, zwracam się jeszcze do Ciebie, Pierwszy Obywatelu i Włodarzu, gdyż wiem, że Ty będąc Ojcem Milionów potrafisz najlepiej zrozumieć i odczuć boleść i łzy ojca, któremu syn zginął na wojnie.

Zwracam się do Ciebie, Głowo Państwa, z gorącą prośbą, abyś dopomógł odszukać mojego syna, który według wszelkich danych żyje gdzieś w Związku Radzieckim.

Mój syn dał znać o sobie przez Rundfunksender Wien Osterreich, jednak bez podania adresu. Dotąd prowadzone poszukiwania przez Czerwony Krzyż nie przyniosły skutku. Toteż nadzieja w Tobie, Najdostojniejszy Obywatelu. Błagam, zlituj się nad starym ojcem i zwróć mu syna” (prośba Karola Szmy z Bojszów po wojnie poszukującego swego syna, Rufina, który zaginął bez wieści na froncie wschodnim).

Dwunastu bojszowiaków (4 proc.) nie powróciło do kraju, osiedlając się w Niemczech, Anglii, Holandii, Brazylii i USA. Tam założyli rodziny, z trudem się tam zadomowili i zdobywali pozycję społeczną. Do końca życia tęsknili. Dobrze ilustruje to list Józefa Biolika [1920–2003], byłego żołnierza Brygady Pancerniej gen. Stanisława Maczka:

„Szkocja, Dumbarton 13.7.1993 r. Otrzymałem od Was kartę z życzeniami na Wielkanoc, a w zeszytym tygodniu artystyczne rysunki z mojej rodzinnej wsi. Wzbudziły one we mnie tyle miłych wspomnień z młodości. Szkoła, gdzie składałem pierwsze litery, kościół, gdzie mnie ochrzczono, te karczmy, gdzie tańczyłem. Myślałem wtedy, że cały świat należy do mnie i wszystkie dziewczęta [...] Moja rodzinna wioska bardzo się rozbudowała, nie do uwierzenia i nie do poznania. Jedynie kościół i cmentarz są na tym samym miejscu. Także słońko wschodzi i zachodzi, jak kiedyś było. Ale to, co ja noszę z młodości – tego już w mojej wiosce nie ma. Pytam siebie, gdzie są te piękne umajone kwiatami łąki nad Gostynią, a na nich żaby i ich granie, bociany. Gdzie są pola obsiane zbożem, obsadzone ziemniakami, gdzie ogrody z drzewami owocowymi, nasze lasy, zapach świerków, sosen, w lesie pełno jagód, gdzie ptaków śpiewanie, gdzie się podziały źródła i wody z jedlińskich stawów? Jak przyjemne wtedy było życie na świecie!

Dziś tamtego piękna już nie ma, ale jesteście jeszcze Wy – moi krewi i przyjaciele. Wspominam Was i dziękuję, żeście mnie tak gościnnie przyjęli. Nie zapomnę tego do końca życia”.

Czterech młodych bojszowiaków podczas styczniowej ofensywy Armii Czerwonej na Górną Śląsk wykorzystało okazję do uciezki. Oddalili się od swych oddziałów i dotarli do swoich domów, zamierzając w ukryciu przeczekać front. Niestety, wszyscy zostali zadenucjowani przez sąsiadów i wkrótce wywiezieni do sowieckich łagrów. Jeden nie powrócił.

Czterdziestu dwóch bojszowiaków (14 proc.) powróciło w różnych latach wojny i po wojnie jako inwalidzi: trzech bez ręki, dwunastu bez nogi (nóg), trzech psychicznie okaleczonych, trzech głuchych, dziewięciu ograniczonych ruchowo i z ubytkami ciała (bez palców u rąk i nóg, bez stopy, z usztywnionymi kończynami, z ciekącymi z odmrożenia ranami, oszpecceni, zatruci itp.).

Siedmiu z doznanych ran lub schorzeń przedwcześnie zmarło (do pięciu lat od powrotu). Dwóch powróciło z żonami (Włoszkami).

Po zabitych i zaginionych oraz przedwcześnie zmarłych pozostało 21 wdów (10 wyszło za mąż po raz drugi) i 35 sierot; 3 wdowy miały po czworo dzieci, 2 – po troje, 5 – po dwoje.

Względnie zdrowych i całych powróciło około 180. Niektórzy w sam środek tragedii rodzinnych: ukochana dziewczyna z dzieckiem po gwałcie sowieckiego żołdaka, śmierć ojca, matki, którzy nie doczekali szczęśliwego powrotu syna z wojny, wypalone lub obrabowane gospodarstwa, warsztaty, zarośnięte chwastami lub zaminowane pola, obce rodziny w domu.

Powrócili i zabrali się do pracy w kopalniach i fabrykach, na najgorszych stanowiskach, bo nosili straszne piętno „hitlerowców”, „zdrajców”, „Szwabów”. W kopalniach zostawali najwyżej hajerami (górnikami przodowymi), bo byli obeznani z materiałami wybuchowymi i zagrożeniami. W fabrykach zatrudniano ich przy produkcji dynamitu dla górnictwa, w rolnictwie przy pługu ciągniętym przez ostatnią we wsi szkapę, bo najlepsze konie poszły na wojnę. Fedrowali, produkowali, oddawali kontyngenty, ginęli w wypadkach, umierali przedwcześnie na szalejącą wtenczas gruźlicę, górniczą pylicę, ginęli od niewypałów, bez prawa do skargi, bez prawa do pomocy.

Również los sierot po wojnie był nie do pozazdroszczenia.

„Mój ojciec – to dla mnie ideał. Poszedłbym za nim na kraniec świata, byleby go tylko zobaczyć, dotknąć, przemówić do niego. Chodzę po świecie od dziesiątków lat i wciąż czekam na jego powrót, choć dobrze wiem, że to się nie stanie. Mój ból pojąć mogą tylko rówieśnicy, którym wojna zabrała ojców. Bo tylko sieroty znają tę straszną gorycz samotności i tęsknotę za rodzicem. Lgnęliśmy do każdego mężczyzny, który był dobry dla nas jak

ojciec, uśmiechał się, głaskał po głowie. Zewnętrznie niczym nie różniliśmy się od tych, którzy mieli ojców, ale wewnętrznie – nikt naprawdę nie wiedział, co działo się w nas. Byliśmy jak psy – przybłądy.

Po wojnie takich okaleczonych jak ja dzieci było u nas tysiące. Przerabiano nam imiona, nazwiska, tępieno naszą mowę. Rodziców, dziadków wysyłano na przyspieszone kursy języka polskiego. To był czas pogardy, której nie da się zapomnieć” (wspomnienia Ludwika Kapiasa z Bojszów [1940]).

Końca wojny nie było

Po „wyzwoleniu” na Górnym Śląsku wojna nie miała końca. Trwało polowanie na ukrywających się zbiegów z Wehrmachtu, za druty obozów pracy przymusowej w Świętochłowicach, Jaworznie, Oświęcimiu, Nieborowicach zamykano tysiące osób rzekomo współpracujących z hitlerowcami, urządzano podstępne łapanki na górników i wywożono ich do sowieckich szacht, na niespotykaną skalę trwał rabunek mienia potoczony z wypędzeniami, bezprawnie załatwiano osobiste i sąsiedzkie porachunki. Górnoszlązacy żyli w strachu i poniżeniu.

W okaleczonych rodzinach górnoszląskich, które w tej apokalipsie jakimś cudem jeszcze trwały, matki, żony, dzieci czekały na powrót synów, mężów i ojców. Cicha radość panowała tam, gdzie dotarła już wiadomość, że syn czy ojciec przeżył wojnę i teraz czeka tylko na odpowiednią chwilę, aby powrócić. Tam, gdzie takiej wiadomości nie było – panowało przygnębienie i oczekiwanie na cud. A cuda czasem się zdarzały.

„W 1940 roku wzięni mie do niemieckiego wojska. Jo szel na Paryż. W jednym roku szel żech na Paryż, a w drugim na Moskwa. Na ta Moskwa fajnie sie maszyrowało, bo było lato. Ale jak przyszła zima, nijjedyn z nos przeklon dziyń, że przyszel na świat. Jo tam był ciężko ranny i dostotech sie do niewole. Do dom przyszło żech jest zaginiony. Toż w kobiórskim kościele zrobili mi już pogrzeb. A jo – dzięki Bogu – wylizot sie z ran i zostotech niywolnikiyim, swoji żech odrobił i doczekał szczęśliwie końca. W 1947 r. wypuścili nos. Do Kobióra przyjechałoch pociągim w nocy. Zaklupoł do dźwyrzi: – Kto tam – pytają? – Atkrywaj! – odpowiedziotech z ruska, boch już sześć lot po rusku gawarił. Wystraszyli sie i zaroz mie puścili. Byłech obtargany, zarośniety i mie niy poznali. – Jo jest Ludwik, niy poznajecie? I dopiero wtynczos matka i siostra cieply mi sie do nóg i zaczęły płakać” (wspomnienia Ludwika Machalicy z Kobióra [1914–1998]).

Pierwsze powroty z Zachodu rozpoczęły się jesienią 1946 r. Zachowały się liczne wspomnienia z tego okresu.

„Koniec wojny i wielko radość. Z Polski na Włoch dochodziły różne wieści. Niy umiołech się zdecydować. Zostało na tym, że my odptynęli do Newcastle. Przebywołech w Anglii od lipca do stycznia 1947 roku. Ta angielsko pogoda mi nic niy pasowała. Dużych chorowoł. Dochtor, kiery mie lyczyl, roz mi pado: – Trzeba zmienić klimat. Zgłot się do Kanady. I może bych sie wybroł za ocean, jakby niy list ze Śląska, od Maryjki: – Franku czekom na ciebie. Wraczej! I jo na te słowa dostotech skrzydeł [...]” (wspomnienia Franciszka Synowca z Chełmu Śląskiego [1920–2002]).

Powracający z Zachodu Górnoszlązacy to byli przeważnie mężczyźni w wieku 20–25 lat. Wielu z nich zaraz po powrocie podejmowało pracę, a mając pracę, myślało o założeniu własnej rodziny. Wymowne są w tym ostatnim względzie statystyki w archiwach parafialnych – np. w Bojszowach „w normalnych” latach udzielano 25 ślubów w roku; w 1947 r. udzielono ich 43, w 1948 – 39, w 1949 – 36. Ostatnie trzy lata dekady był to we wsi czas wesel i organizowania nowego życia. Lecz nie dla wszystkich.

Bardzo dramatyczne chwile przeżywały rodziny, które nie miały żadnych konkretnych informacji o losach swoich bliskich zaginionych podczas zawieruchy wojennej. Dotyczyło to przede wszystkim zaginionych na froncie wschodnim. W tych rodzinach trwały gorączkowe poszukiwania miejsca ich pobytu i pełne desperacji próby ratowania ich życia.

Na przykładzie losów Wiktorii P. z Bojszów [1916–1994] – wdowy z dzieckiem i z chorą matką – warto prześledzić losy tysięcy wdów na Górnym Śląsku.

9 grudnia 1947 r. w piśmie do Ambasady Polskiej w Moskwie prosiła o udzielenie informacji na temat losów swojego męża. Na tę prośbę ambasada nie odpowiedziała, więc czekając powrotu męża Wiktoria 22 października 1948 r. ponowiła prośbę:

„Do Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej – Warszawa – Belweder. Niżej podpisana zwraca się z gorącą prośbą o wszczęcie interwencji u miarodajnych władz ZSRR w sprawie zwolnienia mojego męża [...] z obozu jeńców niemieckich we Lwowie – Lager nr 57/381, barak nr 5. Prośbę swoją motywuję tym, że jestem matką obciążoną rodziną. Żeby żyć, muszę prowadzić gospodarstwo rolne, a nie mam siły, żeby wykonywać wiele męskich prac. Wiadomość o przebywaniu męża w wyżej podanym obozie dotarła do mnie od jeńców wracających z niewoli w ZSRR. Żywię nadzieją, że prośba moja zostanie pozytywnie załatwiona”.

Kancelaria Cywilna Prezydenta RP odpowiedziała 30 listopada 1948 r., że podanie zostało przesłane do Głównego Pełnomocnika Rządu dla spraw Repatriacji. Oczekując bezskutecznie na jakieś wieści o losach męża, wdowa zwróciła się też do Biura Informacyjnego Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie, skąd po jakimś czasie otrzymała lakoniczną odpowiedź: „W kartotece Biura nie figuruje. Poszukiwania trwają. Kierownik Biura AL. Graas”.

Jak wówczas wiele jej podobnych kobiet nie omieszkała się też udać do psychografologa, który na podstawie zdjęcia zaginionego i listu z frontu wywróżył we wrześniu 1949 r. następującą wiadomość:

„Rajmondo Ćwiek, Rybnik, ul. Bolesława Chrobrego 13. Szanowna Pani, mąż żyje! I znajduje się w Rosji, ale dokładność jego pobytu na razie niezbadana. Co do jego powrotu i stanu zdrowia – proszę zapytać za miesiąc. I to bezpłatnie”.

Taka wróżba była małą iskierką nadziei. Z upływem miesięcy zaczęła ona jednak gasnąć. Żeby ulżyć swej doli, wdowa postanowiła ubiegać się o rentę dla swego dziecka. We wrześniu 1949 r. zwróciła się do Izby Skarbowej w Katowicach – Wydział VI – Oddział Rent z odpowiednią prośbą. Po miesiącu oczekiwania otrzymała odpowiedź: „Izba Skarbova zawiadamia, że podanie w sprawie renty pozostawia się bez rozpatrzenia do chwili przedłożenia wszystkich dowodów, tj. poświadczenia daty i okoliczności śmierci, poświadczenia polskiego obywatelstwa, dokumenty metrykalne oraz ostatnie listy pisane przez męża z frontu wraz z kopertą [podpisał radca Jaskółka]”.

Prawie rok trwało zbieranie żądanych dokumentów. W tym czasie wdowa przybita ciężarem nadludzkiej pracy na gospodarstwie postanowiła ponownie wyjść za mąż. Pierwszą przeszkodą urzędową, jaką miała pokonać, było sądowe uznanie męża za zmarłego. Sąd wyznaczając datę rozprawy, wezwał, aby w ciągu siedmiu dni zostały przedłożone następujące dokumenty: metryka urodzenia męża, dokument ślubu, akt zgonu męża na froncie, zaświadczenie o ostatnim miejscu jego zamieszkania, ostatni list męża z frontu. W tak krótkim terminie dowodów tych obciążona gospodarstwem wdowa nie zdołała zebrać, więc sprawa przeciągnęła się do następnego roku. Dopiero 22 marca 1949 r. sąd wydał następujące postanowienie. „Sąd Grodzki w Pszczynie na posiedzeniu niejawnym, po rozpoznaniu wniosku Wiktorii P. [...] postanowił uznać męża [...] za zmarłego i przyjąć datę jego zgonu na dzień 9 maja 1946 roku, a chwilę jego zgonu na godzinę 24”.

Uznanie męża za zmarłego rozwiązywało cywilny ślub. Nie było to równoznaczne z rozwiązaniem ślubu kościelnego, dlatego wdowa zmuszona była zbierać dalsze dokumenty potrzebne do unieważnienia ślubu kościelnego. Kiedy je skompletowała, zwróciła się do Sądu Biskupiego w Katowicach. 21 września 1951 r. otrzymała dekret tego sądu. Postanawiał on uznać jej męża za zmarłego i przyjąć datę śmierci 30 stycznia 1944 r. na froncie wschodnim, a jej udzielić zezwolenia na ślub kościelny.

Jednak do ślubu doszło dopiero w 1953 r., gdyż z niewoli rosyjskiej ciągle wracali jeńcy z niemieckiego wojska. Wiktoria nadal łudziła się nadzieją, że jej mąż może jeszcze wrócić. Nie wrócił, więc ostatecznie podjęła postanowienie. Jej drugie małżeństwo, ze starszym o dziesięć lat wdowcem z dwojgiem dzieci, związane zostało trzema ślubami: cywilnym, kościelnym i prywatnym, polegającym na cichej, niepisanej umowie, że w razie powrotu pierwszego męża z wojny ona opuści drugiego męża i dalej będzie żyła z pierwszym. Ten trzeci kontrakt samoistnie rozwiązały dzieci, w drugim małżeństwie urodziło się ich bowiem dwoje. Odtąd rodzina miała dzieci „moje” (z pierwszego małżeństwa wdowy), „twoje” (z pierwszego małżeństwa wdowca) i „nasze” (z drugiego małżeństwa). Utrzymanie zgody i ciepła rodzinnego w takiej rodzinie było dla Wiktorii nowym i trudnym zadaniem. Wspólna praca na gospodarstwie, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych była walką o przetrwanie, scementowała rodzinę.

Kolejną, równie dramatyczną, choć nie ostatnią kartą zamykającą tragedię wojny, był podział majątkowy gospodarstwa pierwszego męża, gdy trojaki dzieci dorosły. Podział skomplikowany i kosztowny, ale dzięki mądrości obojga rodziców sprawiedliwy i bezkonfliktowy.

Wreszcie ostatni akt wojennej tragedii, jakich na Górnym Śląsku rozgrywało się wiele: oficjalne powiadomienie z berlińskiego biura akt wojennych o dacie, miejscu i okolicznościach śmierci pierwszego męża, które napłynęło dopiero 20 lipca 1965 r. Za radą innych osób znajdujących się w podobnej sytuacji i po kilku latach wahania wdowa postanowiła zwrócić się do Niemiec z wnioskiem o naprawienie szkód wyrządzonych jej rodzinie przez wojnę:

„Dnia 12 stycznia 1973 roku. Urząd Zaopatrzeń Rentowych w Ravensburgu, Lazarettstrasse 3, Weingarten. Jestem wdową po byłym żołnierzu Wehrmachtu. Mój pierwszy mąż zginął w styczniu 1944 roku na froncie wschodnim. O śmierci męża dowiedziałam się dopiero w 1965 roku pismem od Was, które załączam. Przez dziewięć powojennych lat pracowałam nadludzko na opuszczonym gospodarstwie. Mąż nie wracał, a o jego losie nie miałam żadnych wieści. W tej sytuacji w 1953 roku wyszłam ponownie za mąż i moje położenie uległo poprawie. Dzieci usamodzielnily się. Ja ze swoim drugim mężem utrzymujemy się teraz ze skromnej emerytury. Uważam, że mój ból po stracie pierwszego męża, tragiczne doświadczenia wojenne samotnej kobiety, ciężka praca, aby utrzymać dzieci i gospodarstwo – upoważniają mnie do tego, aby domagać się od Was przynajmniej częściowej rekompensaty za szkody moralne i materialne, jakie poniostam.

Moje prawo do wdowiego wsparcia jest tym większe, że przez 15 lat na moim utrzymaniu i pod moją opieką była staruszka – matka mojego pierwszego męża, która po stracie dwóch synów na wojnie była niezdolna do normalnego życia.

Myszę, że moje pismo nie jest bezpodstawne. Wiele osób o sytuacji podobnej jak moja czeka u nas na zadośćuczynienie. Z poważaniem...”

„*Sehr geehrte Frau Wiktoria...* i dalej w bardzo grzecznym tonie, ale w trudnym języku prawniczym następowało skomplikowane wyjaśnienie, że w świetle obowiązującego prawa niemieckiego odszkodowanie za poniesione straty wojenne nie przysługuje... *Mit freundlichen Grüßen – Liebmann...*”

W następnych latach, aż do swej śmierci w 1994 r., Wiktoria nie pisała już do Niemiec żadnych próśb. Ostatni list do Niemiec napisany był ręką jej najstarszego syna w październiku 2003 r.:

„Deutsche Dienststelle Berlin 52, Eichbornbamm 167 – 209. Jestem synem poległego żołnierza Wehrmachtu. Zanim umrę, chcę się jeszcze dowiedzieć, jakie były kolejne miejsca i czas pobytu mojego Ukochanego Ojca, zanim zginął na froncie wschodnim. Bardzo was proszę, napiszcie mi po kolei, kiedy i gdzie przebywał od 22 marca 1942 roku aż do chwili swej śmierci. Nie wiem, gdzie jest jego grób, więc przynajmniej wezmę sobie mapę i na mapie będę podążał Jego śladami. Nie odrzucajcie mojej prośby. To dla mnie człowieka starego bardzo ważna sprawa...”

I ten list wystarczyłby za epilog tragicznych losów Górnślązaków wplątanych wbrew swej woli w straszliwą wojnę.

W pracy wykorzystano następującą literaturę: *Górny Śląsk i Górnślązacy w II wojnie światowej*, red. Wojciech Wrzesiński, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Bytom 1997; *Historia Śląska*, red. Marek Czapliński, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2002; Zbigniew Kapata, *Ślązacy i Zagłębiacy w walkach Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie*, Bytom 1992; Ryszard Karczmarek, *Pod rządami gauleiterów*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Katowice 2000; Alojzy Lysko, *To byli nasi ojcowie*, wydał Gminny Ośrodek Rozwoju w Bojszowach, Bojszowy 1999 oraz materiały źródłowe (publikowane i niepublikowane listy, wspomnienia i dokumenty) ze zbiorów własnych autora.



Cmentarz polowy z grobami m.in. Ślązaków wcielonych do Wehrmachtu